Iluzja technokratyczna i spór o fundamenty rozwoju

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Tekst stanowi pogłębioną analizę fundamentalnego sporu o kierunki rozwoju cywilizacyjnego, uosobionego przez noblistów Friedricha von Hayeka i Gunnara Myrdala. Autor demaskuje tzw. iluzję technokratyczną – błędne przekonanie, że społeczeństwo można zaprogramować niczym maszynę, ignorując przy tym godność jednostki i złożoność spontanicznych procesów rynkowych. Artykuł przybliża koncepcję spontanicznego ładu oraz wyjaśnia psychologiczny mechanizm błędu atrybucji, który prowadzi do przeceniania efektywności reżimów autorytarnych. Poprzez porównanie modelu skandynawskiego z niemiecką tradycją ordoliberalną, autor dowodzi, że to nie odgórne planowanie, lecz rządy prawa, kapitał zaufania i wolność ekonomiczna stanowią rzeczywiste fundamenty trwałego postępu. To istotny głos w dyskusji o wyższości systemów samokorygujących się nad sztywną inżynierią społeczną.

This text provides an in-depth analysis of the fundamental debate over the direction of civilizational development, epitomized by Nobel Prize winners Friedrich von Hayek and Gunnar Myrdal. The author exposes the so-called technocratic illusion—the false belief that society can be programmed like a machine, ignoring the dignity of the individual and the complexity of spontaneous market processes. The article introduces the concept of spontaneous order and explains the psychological mechanism of attribution error, which leads to overestimating the effectiveness of authoritarian regimes. By comparing the Scandinavian model with the German ordoliberal tradition, the author argues that it is not top-down planning but the rule of law, the capital of trust, and economic freedom that constitute the true foundations of sustainable progress. This is an important voice in the debate on the superiority of self-correcting systems over rigid social engineering.

W artykule podjęto problematykę sporu między Hayekiem a Myrdalem, który wykracza poza akademicką debatę, stając się symbolem niepewności wobec idei postępu. Ukazano

konflikt między logiką inżynierii społecznej a ideą spontanicznego ładu, gdzie pierwsza zakłada odgórne planowanie rozwoju przez ekspertów, a druga podkreśla rolę oddolnych inicjatyw i wolności jednostki. William Easterly demaskuje iluzję technokratyczną, wskazując na błąd utożsamiania racjonalności z perspektywą eksperta ignorującego godność i prawa jednostki. Artykuł analizuje tragiczne konsekwencje implementacji technokratycznych idei w różnych kontekstach historycznych, od kolonialnej Afryki po współczesne reżimy autorytarne. Krytykuje fascynację autokratą jako fetyszem efektywności, demaskując błąd atrybucji, który przypisuje sukcesy reżimów cechom liderów, a porażki czynnikom zewnętrznym. Artykuł stawia tezę, że trwały rozwój wymaga budowania instytucji chroniących prawa jednostki i krępujących władzę, co jest jedynym racjonalnym zakładem w długim horyzoncie czasowym.

SŁOWA KLUCZOWE

iluzja technokratyczna | spór Hayek-Myrdal | spontaniczny ład | inżynieria społeczna | fundamentalny błąd atrybucji | polityka rozwojowa | prawa jednostki | William Easterly | ordoliberalizm | model skandynawski | kapitał zaufania | rządy prawa | autokrata jako fetysz | mechanizmy samokorygujące | wolność ekonomiczna

Myrdal vs Hayek: inżynieria kontra ład spontaniczny

Spór Hayek–Myrdal to coś więcej niż wymiana akademickich uprzejmości między noblistami. To symbol, w którym skupia się cała nowoczesna niepewność wobec idei postępu. Gdy spojrzymy głębiej, poza fasadę konfliktu szkół ekonomicznych, zobaczymy zmaganie dwóch fundamentalnie różnych logik. Z jednej strony mamy logikę inżynierii społecznej, roszczącą sobie prawo do przebudowy społeczeństwa według naukowego planu. Z drugiej – logikę spontanicznego ładu, która zakłada, że porządek społeczny i gospodarczy może wyłonić się samoczynnie, bez centralnego architekta, i mimo to być racjonalny.

Technokratyczna iluzja, którą William Easterly demaskuje jako paradygmat powojennej polityki rozwojowej, polega na prostym, lecz brzemiennym w skutki błędzie. Utożsamia ona racjonalność z chłodnym spojrzeniem zewnętrznego obserwatora – eksperta, który z centrum władzy patrzy na społeczeństwo jak na materiał do obróbki. Ten planista czuje się zwolniony z obowiązku

uwzględnienia faktu, że przedmiotem jego zabiegów są ludzie: jednostki obdarzone godnością, własnymi celami i prawem do tego, by rząd chronił ich wolność, a nie realizował abstrakcyjne plany pięcioletnie.

Hayek, a w ślad za nim Easterly, próbują odwrócić tę optykę. Zamiast pytać, jak eksperci mogą zaprojektować idealny model rozwoju dla danego kraju, stawiają inne pytanie: jakie minimalne warunki prawne i instytucjonalne muszą zostać spełnione, aby obywatele, działając w ramach stabilnego porządku, mogli sami eksperymentować, poprawiać i wybierać najlepsze dla siebie rozwiązania? W centrum tej wizji nie stoją wskaźniki PKB czy rankingi konkurencyjności, lecz nienaruszalne prawa jednostki: do życia, własności, swobodnej wymiany i politycznego sprzeciwu wobec władzy.

Myrdal uosabia biegun przeciwny. Dla niego to naród jest podmiotem rozwoju, a państwo, wsparte armią ekspertów, staje się narzędziem racjonalizacji życia zbiorowego. Historia, lokalne zwyczaje czy spontanicznie ukształtowane instytucje traktowane są jak surowiec, który należy oczyścić, skodyfikować i przetopić w spójny system polityk publicznych. W tym ujęciu logika indywidualnego doświadczenia zostaje podporządkowana logice systemu, a świat przeżywany ubogich zostaje wchłonięty przez aparat pojęciowy planistów.

Ten spór nie jest jednak czystą abstrakcją. Materializuje się w tragicznych scenariuszach historycznych: w kolonialnej Afryce, przedrewolucyjnych Chinach, Kolumbii czasów La Violencia czy powojennej Etiopii. W każdym z tych miejsc technokratyczny żargon rozwoju służył jako zasłona dymna dla brutalnego faktu: rządy dysponowały niekontrolowaną władzą nad ludźmi pozbawionymi praw. Prawdziwym problemem nie był brak nawozów czy antybiotyków, lecz brak mechanizmów, które powstrzymałyby żołnierzy przed paleniem domów rolników, a aparat państwowy, finansowany z zagranicznej pomocy, przed używaniem żywności jako narzędzia politycznego szantażu.

Iluzja technokratyczna: błąd projektowania odgórnego

William Easterly demaskuje iluzję technokratyczną, która zdominowała powojenną politykę rozwojową. Polega ona na prostym, lecz zgubnym utożsamieniu racjonalności z perspektywą zewnętrznego eksperta. Ów ekspert, usytuowany w centrum władzy, spogląda na społeczeństwo niczym na pasywny obiekt, który można poddać inżynieryjnym przekształceniom. Czuje się przy tym zwolniony z obowiązku uwzględnienia faktu fundamentalnego: podmiotem rozwoju są ludzie obdarzeni godnością, zdolni do wyznaczania własnych celów. Posiadają oni również niezbywalne prawo do tego, by rząd chronił ich wolność, a nie realizował abstrakcyjne, odgórne plany narodowe.

Friedrich Hayek, a w jego ślady Easterly, próbują postawić tę perspektywę na głowie. Zamiast pytać, jak eksperci mogą zaprojektować optymalny rozwój, stawiają inne pytanie: jakie są minimalne warunki prawne i instytucjonalne, by obywatele mogli sami testować, korygować i wybierać najlepsze dla siebie rozwiązania? W centrum takiego myślenia nie stoją wskaźniki PKB czy indeksy konkurencyjności, lecz fundamentalne prawa jednostki: do życia, własności, swobodnej wymiany, a także do politycznego sprzeciwu wobec władzy. To zmiana optyki z projektowania systemu na tworzenie reguł gry.

Gunnar Myrdal reprezentuje biegun przeciwny. Dla niego to naród jest nośnikiem sensu, a państwo, wsparte armią ekspertów, staje się narzędziem racjonalizacji całej społecznej maszynerii. Historia, lokalne zwyczaje, spontanicznie ukształtowane instytucje traktowane są jak surowiec, który należy oczyścić, skodyfikować i przetopić w spójny system polityk publicznych. W tym ujęciu Myrdal jawi się jako klasyczny przedstawiciel nowoczesnego projektu, w którym logika jednostkowej samowiedzy zostaje podporządkowana logice systemu, a świat przeżywany ubogich zostaje wchłonięty przez aparat pojęciowy planistów.

Spór Hayek–Myrdal nie jest jednak czysto akademicką dysputą. Jego konsekwencje materializują się w tragicznych scenariuszach historycznych: w kolonialnej Afryce, przedrewolucyjnych Chinach, w Kolumbii epoki La Violencia czy powojennej Etiopii. W każdym z tych przypadków technokratyczny żargon rozwoju służył za zasłonę dymną dla brutalnego faktu: rządy dysponowały niekontrolowaną władzą nad ludźmi pozbawionymi praw. Prawdziwym problemem nie był brak nawozów czy antybiotyków, lecz brak mechanizmów, które powstrzymałyby żołnierzy przed paleniem domów rolników, a aparat państwowy przed używaniem pomocy żywnościowej jako narzędzia politycznego szantażu.

W tym miejscu ujawnia się zasadnicza perwersja nowoczesnej wyobraźni ekonomicznej, którą można określić mianem autokraty jako fetyszu nowoczesnego rozumu gospodarczego. Z jednej strony teoria liberalna deklaruje wierność rządom prawa i wolności. Z drugiej, praktyka polityki rozwojowej, a także część ekonomicznej refleksji, zwłaszcza po kryzysie z 2008 roku, ulega fascynacji figurą autokraty. Postrzega się go jako ucieleśnienie efektywności i zdolności decyzyjnej, wolne od rzekomych słabości procesów demokratycznych.

Easterly sięga do psychologii, by obnażyć ten mechanizm jako fundamentalny błąd atrybucji, czyli skłonność do przypisywania sukcesów i porażek cechom jednostek, a nie okolicznościom. Gdy autokratyczny reżim notuje szybki wzrost, interpretujemy to jako dowód geniuszu lidera. Gdy ten sam reżim prowadzi kraj do katastrofy, winę zrzucamy na czynniki zewnętrzne: dziedzictwo

Błąd atrybucji: fałszywy obraz sukcesu autokracji

Autokrata jako fetysz nowoczesnego rozumu gospodarczego odsłania fundamentalną perwersję, jaka zagnieździła się w wyobraźni ekonomicznej naszych czasów. Z jednej strony teoria liberalna z namaszczeniem deklaruje przywiązanie do rządów prawa i wolności jednostki. Z drugiej jednak strony praktyka polityki rozwojowej, a zwłaszcza część ekonomicznej refleksji po kryzysie z 2008 roku, zdradza niepokojącą fascynację figurą autokraty. Jest on postrzegany jako uosobienie sprawczości, decyzyjności i efektywności, rzekomo wolny od słabości, które trapią procesy demokratyczne.

W tym miejscu William Easterly sięga do psychologii, by obnażyć mechanizm poznawczy znany jako fundamentalny błąd atrybucji, czyli skłonność do przeceniania cech osobowych przy jednoczesnym niedocenianiu wpływu otoczenia. Gdy autokratyczny reżim notuje imponujący wzrost gospodarczy, światowi analitycy przypisują to osobistej mądrości i genialności lidera. Kiedy jednak ten sam typ rządów prowadzi kraj do katastrofy, winę zrzuca się na czynniki zewnętrzne: dziedzictwo kolonializmu, trudne warunki geograficzne czy międzynarodowe spiski. Wobec demokracji logika bywa dokładnie odwrotna. Jej sukcesy są trywializowane jako efekt szczęśliwego trafu lub „długiego cyklu koniunkturalnego", podczas gdy porażka natychmiast staje się koronnym dowodem na rzekomą słabość demokratycznego podejmowania decyzji.

Ten asymetryczny sposób interpretacji jest logicznie wadliwy, co można zilustrować za pomocą prostej łamigłówki opartej na rachunku zdań. Wyobraźmy sobie cztery proste stwierdzenia: kraj jest autokracją (A) lub demokracją (D) oraz doświadcza wysokiego wzrostu (W) lub przeżywa kryzys (K). Zwolennicy autokratycznej efektywności stosują następujący klucz interpretacyjny: jeśli zachodzi A i W, przyczyną jest geniusz lidera; jeśli D i W, to czysty przypadek; jeśli A i K, winne są siły zewnętrzne; jeśli zaś D i K, to dowód na nieuchronną dysfunkcję demokracji.

Na pierwszy rzut oka schemat ten zręcznie podtrzymuje mit autokraty jako potencjalnego demiurga wzrostu. Z perspektywy logiki jest to jednak konstrukcja doskonale nienaukowa, ponieważ jest nieobalalna. Każdy możliwy stan świata, opisany przez kombinacje A lub D oraz W lub K, da się zinterpretować w sposób, który potwierdzi z góry przyjętą tezę. Mamy tu do czynienia z twierdzeniem, które nie jest falsyfikowalne, czyli nie istnieje żaden empiryczny wynik, który mógłby mu zaprzeczyć. Racjonalne rozwiązanie tej łamigłówki polega na odrzuceniu całej jej struktury i przyjęciu, że zarówno w autokracji, jak i w demokracji, sukces i porażka wynikają ze złożonej kombinacji czynników systemowych, losowych oraz jakości instytucji.

Ta łamigłówka to nie tylko intelektualna zabawa, lecz modelowy przykład tego, jak międzynarodowe organizacje, media i część środowiska biznesowego opowiadają o „cudach

rozwojowych” w reżimach autorytarnych. Gdy rząd Etiopii, sprawujący władzę w warunkach brutalnych represji, ogłasza poprawę wskaźników śmiertelności dzieci, natychmiast pojawia się narracja o sprawnej, technokratycznej ekipie. Przekaz jest jasny: rządy silnej ręki są skuteczniejsze w walce z ubóstwem niż rozchwiane demokracje. Kiedy później ten sam reżim pogrąża kraj w wojnie domowej i kryzysie humanitarnym, narracja zręcznie przesuwa akcent na „dziedzictwo plemiennych antagonizmów” lub „nieprzewidywalne zmiany klimatu”. W ten sposób autokrata nigdy nie pon

Prawa jednostki: fundament, a nie luksus rozwoju

Fundamentalna intuicja Hayeka, którą Easterly jedynie radykalizuje, opiera się na prostym stwierdzeniu: uporządkowane życie gospodarcze nie potrzebuje centralnego architekta. Wymaga za to stabilnej struktury praw i instytucji, w ramach której rozproszone jednostki mogą swobodnie koordynować swoje działania, dążąc do własnych celów. W tym ujęciu prawa jednostki nie są luksusową dekoracją, na którą biedne społeczeństwa mogą sobie pozwolić dopiero po przekroczeniu pewnego progu zamożności. Przeciwnie, stanowią one warunek konieczny racjonalnego gospodarowania, ponieważ tylko tam, gdzie człowiek jest właścicielem swojego ciała, swojej własności i swoich decyzji, rodzi się mechanizm odpowiedzialności i uczenia się na błędach.

Spontaniczny ład to nazwa dla zjawiska, w którym porządek wyższego rzędu wyłania się z milionów nieskoordynowanych, indywidualnych działań. Rynki, język, prawo zwyczajowe, a dziś nawet internet – wszystko to są przykłady takich właśnie struktur. Ich siła nie polega na genialnym projekcie jednego umysłu, lecz na ewolucyjnej mądrości. Kolejne pokolenia uczestników testowały bowiem rozmaite rozwiązania w praktyce, bezlitośnie eliminując te, które okazywały się niesprawiedliwe lub po prostu nieefektywne. W ekonomii słynna niewidzialna ręka oznacza właśnie to: sprzedawca, kierując się własnym interesem, w warunkach konkurencji jest zmuszony odpowiadać na realne potrzeby innych. Jeśli tego nie zrobi, rynek go wyeliminuje.

W tym sensie wolność ekonomiczna i polityczna to dwie strony tej samej monety. Jeżeli rząd może bezkarnie konfiskować własność, w istocie oznacza to, że może bezkarnie stosować przemoc wobec obywatela. Jeżeli obywatel nie może pokojowo zaprotestować przeciwko działaniom rządu, jego własność staje się warunkowa, zależna od kaprysu i łaski władzy. Rozwojowa alternatywa dla technokratycznego autorytaryzmu nie polega więc na naiwnej idealizacji rynku. Polega na zrozumieniu, że system, w którym jednostka ma prawo do wyjścia, do odmowy, do krytyki i do zastąpienia złego dostawcy – czy to usług publicznych, czy prywatnych – lepszym, jest systemem samokorygującym się w sposób, który dla autokracji pozostanie na zawsze niedostępny.

Jeśli przełożymy te abstrakcyjne ramy na konkretny grunt europejski, szczególnie pouczające staje się porównanie modeli skandynawskich z niemiecką tradycją ordoliberalną. Na pierwszy rzut oka oba kręgi kulturowe wydają się wzorcowymi przykładami zracjonalizowanych instytucji: silne urzędy, rozbudowana administracja, wysokie podatki, hojne państwo opiekuńcze. Obserwator o skłonnościach technokratycznych mógłby uznać oba modele za „dobrze funkcjonujące technokracje", faworyzując być może niemiecką dyscyplinę fiskalną lub skandynawską innowacyjność społeczną. Rzecz wygląda jednak zgoła inaczej, gdy przyłożymy do nich miarę hayekowską.

W krajach skandynawskich technokratyczne planowanie jest głęboko osadzone w długiej tradycji demokratycznej, kulturze wysokiego zaufania i silnym etosie indywidualnej autonomii. Państwo nie jest tam postrzegane jako suwerenny inżynier uprawniony do przebudowy społeczeństwa od podstaw, lecz jako narzędzie. Narzędzie, w które obywatele świadomie wyposażyli państwo, ponieważ wcześniej zbudowali solidny kapitał zaufania i skuteczne mechanizmy kontroli. Wysokie podatki są tu elementem niepisanego kontraktu: w zamian za nie jednostka otrzymuje szeroki wachlarz zabezpieczeń, które realnie poszerzają jej pole wolności i wyboru.

Niemiecki ordoliberalizm, czyli doktryna społecznej

Skandynawskie zaufanie vs niemiecki ordoliberalizm

Gdy przełożymy tę abstrakcyjną ramę na grunt europejski, szczególnie pouczające staje się porównanie skandynawskich modeli kapitalizmu z niemiecką tradycją ordoliberalną. Na pierwszy rzut oka oba kręgi kulturowe jawią się jako wzorce instytucjonalnej racjonalizacji: silne urzędy, rozbudowana administracja, wysokie podatki i rozwinięte państwo dobrobytu. Powierzchowny obserwator, operujący logiką technokratyczną, mógłby zakwalifikować oba modele jako „dobrze funkcjonujące technokracje", być może z lekką preferencją dla niemieckiej dyscypliny fiskalnej lub skandynawskiej innowacyjności społecznej.

Obraz ten ulega jednak radykalnej zmianie, gdy zastosujemy kryterium hayekowskie. W krajach skandynawskich technokratyczne planowanie jest głęboko zakorzenione w długim doświadczeniu demokratycznym, kulturze wysokiego zaufania (high trust) oraz silnym etosie indywidualnej autonomii. Państwo nie jest tam postrzegane jako suwerenny byt z prawem do inżynierii społecznej, lecz jako narzędzie, które obywatele świadomie wyposażyli w szerokie kompetencje, opierając się na zbudowanym kapitale zaufania i mechanizmach kontroli. Wysokie podatki stanowią element niepisanego kontraktu: w zamian za nie jednostka otrzymuje szeroki wachlarz zabezpieczeń, które poszerzają jej pole realnej wolności.

Niemiecki ordoliberalizm, czyli doktryna postulująca silne państwo prawa jako gwaranta wolnego rynku, ma zupełnie inną genezę. Wyłonił się z traumy hiperinflacji lat dwudziestych i katastrofy nazizmu, rodząc przekonanie, że rynek do działania potrzebuje żelaznych ram prawnych i strażnika konkurencji. Stąd bierze się nacisk na twarde reguły, niezależność banku centralnego i konstytucyjne hamulce zadłużenia. Tutaj technokracja przybiera formę strażnika zasad, których celem jest zakotwiczenie oczekiwań i powstrzymanie demokratycznych pokus nadmiernego rozdawnictwa.

Ciekawą synekdochą całego problemu jest język niemieckiej debaty o polityce europejskiej. Wyrażenie „Regeln einhalten", czyli przestrzegać reguł, powraca niczym mantra, niemal całkowicie przesłaniając fundamentalne pytania: kto te reguły ustanawia, co legitymizuje ich treść i w jakim stopniu odzwierciedlają one historyczną przewagę jednych gospodarek nad innymi. Posłuszeństwo wobec reguł staje się cnotą samą w sobie, a ich naruszenie – niemal moralnym występkiem. Niemiecki ordoliberalizm jawi się jako forma wewnętrznie zdyscyplinowanej technokracji praworządności, gdzie ryzyko polega nie tyle na autorytarnej przemocy, ile na sprowadzeniu złożonych relacji ekonomicznych do mechanicznego stosowania norm, nawet kosztem społecznej destabilizacji na peryferiach.

W Skandynawii natomiast najbardziej symptomatycznym detalem jest charakter debaty o polityce społecznej. Dyskutuje się tam nie o tym, jak ograniczyć uprawnienia jednostki w imię „konkurencyjności", lecz o tym, jak przeprojektować świadczenia, by zachować równowagę między autonomią a solidarnością. Nie jest to bynajmniej raj bezproblemowego indywidualizmu, ale środowisko, w którym nawet głęboko kolektywistyczne instytucje muszą być nieustannie legitymizowane przez odwołania do wolności jednostki. Technokraci pełnią tu rolę wyspecjalizowanych wykonawców, których decyzje podlegają stałej krytyce i korekcie w ramach dojrzałej kultury debaty publicznej.

Globalny biznes, obserwując te dwa modele, ceni w nich przede wszystkim przewidywalność. Skandynawia kojarzy się z innowacją społeczną, cyfryzacją i zieloną transformacją; Niemcy z potęgą przemysłową, inżyniery

Instytucje inkluzywne: silnik wzrostu Acemoglu i Robinsona

Współczesna ekonomia, wbrew pozorom, dostarcza potężnych argumentów przeciwko technokratycznej iluzji, potwierdzając intuicje jej krytyków. Z jednej strony mamy tradycję Amartyi

Sena, który interpretuje rozwój jako proces poszerzania realnych wolności człowieka. W jego ujęciu wskaźniki materialne nigdy nie są celem samym w sobie; stają się jedynie narzędziem, które pozwala jednostkom realizować własne plany życiowe. Nie chodzi zatem o to, by biedni osiągnęli arbitralnie wyznaczony próg konsumpcji, lecz o to, by mogli dokonywać sensownych wyborów, co jest niemożliwe bez zabezpieczenia ich fundamentalnych praw.

Równolegle nurt badań instytucjonalnych, firmowany nazwiskami Darona Acemoglu i Jamesa Robinsona, dowodzi, że długofalowy sukces gospodarczy jest nierozerwalnie związany z inkluzywnym charakterem instytucji. Chodzi o takie ramy polityczne i ekonomiczne, które umożliwiają szerokiemu gronu obywateli udział w decyzjach i chronią ich własność przed arbitralną konfiskatą. Instytucje ekstraktywne, skoncentrowane wokół wąskiej elity, mogą co prawda wygenerować krótkotrwałe zrywy wzrostu, zwłaszcza gdy elita ta ma motywację do agresywnej modernizacji. Na dłuższą metę prowadzą jednak nieuchronnie do stagnacji, korupcji i konfliktów.

Tę myśl rozwija Dani Rodrik, który z całą mocą podkreśla, że nie istnieje uniwersalny zestaw polityk rozwojowych, gotowy do zaimplementowania w dowolnym kraju niczym oprogramowanie. Ekonomia, jak wskazuje, dostarcza raczej ogólnych pryncypiów niż gotowych recept, a mechaniczne przenoszenie „najlepszych praktyk" bez głębokiego zrozumienia lokalnego kontekstu jest prostą drogą do porażki. Ta świadomość granic eksperckiej wiedzy stanowi echo hayekowskiej krytyki centralnego planowania, ubranej w szaty współczesnej ekonomii politycznej.

Oczywiście, istnieje również silna tradycja obrony podejścia technokratycznego, zwłaszcza w obszarach takich jak zdrowie publiczne, polityka klimatyczna czy stabilność finansowa. Argumentacja jest prosta: pewne zjawiska mają charakter globalnych dóbr publicznych lub globalnych ryzyk systemowych, toteż wymagają skoordynowanej, eksperckiej odpowiedzi. I rzeczywiście, trudno odmówić słuszności tezie, że opanowanie epidemii czy zapobieganie kryzysom bankowym wymaga specjalistycznej wiedzy i centralnej koordynacji.

Prawdziwa linia sporu nie przebiega jednak między „eksperckością" a „niekompetencją". Biegnie ona między eksperckością zakorzenioną w konstytucyjnych ramach chroniących prawa jednostki a eksperckością, która staje się narzędziem autokratycznej ambycji zawłaszczenia państwa. Ten drugi typ jest właśnie sednem technokratycznej iluzji. Nie jest to bowiem proste zastosowanie wiedzy do rozwiązania problemu, lecz użycie jej do legitymizowania władzy, która pozostaje poza jakąkolwiek skuteczną kontrolą tych, na których życie wpływa.

Reżimy autorytarne: bariera dla globalnego kapitału

Komisarz UE jest w publicystyce często portretowany jako ucieleśnienie „brukselskiego eksperta" z książki Easterly'ego – technokrata, który zza biurka w Berlaymont projektuje świat od nowa. Ten obraz, choć nośny, rozpada się przy bliższym spojrzeniu, okazując się raczej zgrabną metaforą niż tezą możliwą do obrony. Aby to dostrzec, wystarczy spokojnie zrekonstruować, jak w ogóle dochodzi do powołania Komisji, jakie kryteria kompetencji traktaty wpisują w ten urząd i w jaki sposób komisarze ponoszą odpowiedzialność. Dopiero na tym tle można zadać kluczowe pytanie: czy mamy do czynienia z „tyranią ekspertów", czy raczej z klasycznym, demokratycznie zakotwiczonym modelem rządu wykonawczego w systemie wielopoziomowym?

Procedura powoływania komisarzy to w istocie demokracja pośrednia na traktatowych sterydach. Obecnie Komisja Europejska jest powoływana w dwuetapowym procesie opisanym w artykule 17 Traktatu o Unii Europejskiej. Najpierw Rada Europejska, czyli zgromadzenie szefów państw i rządów, proponuje kandydata na przewodniczącego Komisji, biorąc pod uwagę wynik wyborów do Parlamentu Europejskiego. Następnie Parlament ten wybór albo zatwierdza bezwzględną większością głosów, albo odrzuca, co zmusza Radę Europejską do przedstawienia nowej kandydatury w ciągu miesiąca. To pierwszy, fundamentalny filtr demokratyczny.

Dopiero po wyłonieniu przewodniczącego rozpoczyna się właściwa „układanka personalna" całego kolegium. Każde państwo członkowskie nominuje własnego kandydata na komisarza, lecz nie jest to bynajmniej nominacja jednostronna. Lista kandydatów jest ustalana we „wspólnym porozumieniu" Rady, czyli rządów, i przewodniczącego-elekta Komisji. Traktaty precyzują przy tym, że członkowie Komisji mają być wybierani „ze względu na ich ogólną kompetencję i zaangażowanie europejskie, spośród osób, których niezależność jest niekwestionowana". Następuje potem etap, który w praktyce bywa bardziej brutalny niż niejeden krajowy proces nominacyjny: publiczne przesłuchania w komisjach Parlamentu Europejskiego.

Każdy desygnowany komisarz musi publicznie odpowiadać na szczegółowe pytania posłów, dotyczące zarówno wiedzy merytorycznej, jak i potencjalnych konfliktów interesów. Parlament formalnie nie głosuje nad pojedynczymi nazwiskami, lecz nad całym „kolegium". W praktyce jednak wielokrotnie wymuszał wymianę kandydatów, odmawiając udzielenia pozytywnej oceny w komisji, co jest politycznym wyrokiem. Dopiero po zakończeniu tego politycznego czyśćca Parlament głosuje nad zatwierdzeniem całej Komisji. Jeśli wyrazi zgodę, Rada Europejska formalnie ją powołuje. W kategoriach teorii politycznej łańcuch legitymacji komisarza jest więc podwójny: biegnie zarówno przez rządy wybrane w wyborach krajowych, jak i przez Parlament Europejski wybierany bezpośrednio przez obywateli. Nie ma tu mowy o ekspercie zrzuconym na

spadochronie do systemu; jest raczej klasyczne zakotwiczenie w logice odpowiedzialności politycznej.

Co zatem świadczy o kompetencji komisarzy? Traktatowy poziom abstrakcji mówi niewiele, ale mówi coś kluczowego: mają być wybierani z uwagi na „ogólną kompetencję i zaangażowanie europejskie", a ich niezależność ma być „ponad wszelką wątpliwość". Już sama normatywna konstrukcja urzędu jest więc antyklientelistyczna. Komisarz nie reprezentuje własnego państwa, lecz „interes Unii jako całości", i nie może przyjmować instrukcji od rządów. Empirycznie zaś profile biograficzne komisarzy pokazują, że są to z reguły byli premierzy, ministrow

Komisarze UE: bariera dla tyranii ekspertów Easterly'ego

Zgodnie z architekturą traktatową głównym recenzentem pracy Komisji Europejskiej jest Parlament Europejski. To przed nim Komisja odpowiada jako całość, a arsenał narzędzi kontrolnych, jakimi dysponują posłowie, jest szeroki. Parlament może inicjować debaty, wzywać komisarzy na dywanik, powoływać komisje śledcze, a także wstrzymywać udzielenie absolutorium budżetowego, co jest sygnałem poważnego kryzysu politycznego. W ostateczności ma w ręku tzw. „opcję atomową" – wotum nieufności wobec całej Komisji. Jego przyjęcie wymaga kwalifikowanej większości, ale jeśli do niego dojdzie, całe kolegium komisarzy ma obowiązek podać się do dymisji.

Ta ostateczna broń nigdy nie została formalnie użyta, ale sama groźba jej odpalenia wystarczyła, by w 1999 roku doprowadzić do dymisji całego kolegium. Gdy niezależny raport ekspertów obnażył skalę nadużyć i nieprawidłowości finansowych, Komisja pod przewodnictwem Jacques'a Santera ustąpiła, zanim Parlament zdążył formalnie przegłosować wotum nieufności. To był moment, w którym system pokazał zęby, dowodząc, że brukselski ekspert nie jest nietykalnym demiurgiem, lecz urzędnikiem podlegającym twardej politycznej weryfikacji. Sprawa komisarz Édith Cresson, oskarżanej o faworyzowanie znajomego, stała się synekdochą dla całego problemu, a hasło z raportu – że „nikt nie wziął za nic odpowiedzialności" – było politycznym wyrokiem.

Poza odpowiedzialnością zbiorową, która przypomina gilotynę, istnieje też skalpel odpowiedzialności indywidualnej. Przewodniczący Komisji może zażądać dymisji pojedynczego komisarza, jeśli pojawią się wobec niego poważne zarzuty. Co więcej, komisarze podlegają jurysdykcji Trybunału Sprawiedliwości UE, a ich działania finansowe monitoruje Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych (OLAF). Od 2021 roku do tego ekosystemu dołączyła Prokuratura Europejska (EPPO), czyli instytucja ścigająca przestępstwa przeciwko interesom

finansowym Unii. To klasyczny przykład mechanizmu, w którym władza ekspercka nie jest zawieszona w próżni, lecz podlega twardym rygorom prawa.

Jak to działa w praktyce, ilustruje niedawna sprawa byłej Wysokiej Przedstawiciel Federiki Mogherini i innych urzędników, formalnie oskarżonych przez EPPO o nadużycia przy przetargach. Zarzuty obejmują korupcję i konflikt interesów, a sprawę prowadzi właśnie Prokuratura Europejska, podczas gdy instytucje unijne deklarują pełną współpracę. To dowód, że architektura odpowiedzialności nie jest jedynie papierowym zapisem. W tym kontekście warto przyjrzeć się tezie Williama Easterly'ego o „tyranii ekspertów", która rodzi się tam, gdzie władza technokratyczna wymyka się spod jakiejkolwiek kontroli.

W ujęciu Easterly'ego „tyrania ekspertów" to toksyczny koktajl trzech składników. Po pierwsze, potrzebny jest autokrata lub quasi-autorytarny rząd, który dysponuje realną, nieograniczoną władzą. Po drugie, eksperci od rozwoju – ekonomiści i technokraci – muszą przyjąć język „czystej karty", traktując społeczeństwo jak materiał do przeprojektowania i ignorując lokalne uwarunkowania oraz prawa jednostek. Po trzecie, sama pomoc rozwojowa i techniczne know-how stają się narzędziem legitymizacji tej władzy, przesłaniając łamanie praw człowieka narracją o „walce z ubóstwem" i „modernizacji".

Gdy nałożyć tę matrycę na Komisję Europejską, cała konstrukcja się rozpada. Brakuje jej bowiem elementu centralnego: autokraty o nie

Odpowiedzialność prawna hamuje władzę Komisji Europejskiej

W historii Unii Europejskiej istnieje co najmniej jeden precedens, który z całą mocą dowodzi, że „brukselski ekspert" nie jest nietykalnym demiurgiem, lecz urzędnikiem politycznym podlegającym odpowiedzialności. Mowa o upadku Komisji Jacques'a Santera w 1999 roku, który stanowi empiryczny test dla tezy o tyranii technokratów. Sprawa miała swój początek w narastających zarzutach o nepotyzm i nieprawidłowości finansowe, których symbolem stała się komisarz Édith Cresson, oskarżana o faworyzowanie znajomego przy kontraktach. Parlament Europejski, odmawiając udzielenia absolutorium budżetowego, wymusił powołanie niezależnego komitetu ekspertów. Jego raport był miażdżący: stwierdzono poważne przypadki złego zarządzania i konkludowano, że „nikt nie wziął za nic odpowiedzialności". Politycznie był to wyrok.

W obliczu realnej groźby wotum nieufności ze strony Parlamentu, w marcu 1999 roku cała Komisja Santera podała się do dymisji. Co jest w tym wydarzeniu kluczowe z perspektywy analizy

Easterly'ego? Po pierwsze, demaskuje ono mit komisarzy funkcjonujących w instytucjonalnej próżni. Ich działania były bowiem skutecznie kontrolowane przez inną demokratycznie legitymizowaną instytucję – Parlament – która użyła swoich traktatowych uprawnień do wymuszenia rozliczenia. Po drugie, reakcją systemu nie było zamiecenie problemu pod dywan w imię „wielkiego celu rozwoju", jak w wielu przypadkach opisywanych przez Easterly'ego w państwach autorytarnych. Zamiast tego nastąpiło ustąpienie całego kolegium, a w konsekwencji reforma procedur i wzmocnienie mechanizmów kontroli, w tym roli Europejskiego Trybunału Obrachunkowego.

„Tyrania ekspertów" w ujęciu Easterly'ego zakłada bowiem specyficzną konstelację cech: autokratę o niekontrolowanej władzy, ekspercką fasadę legitymizującą naruszenia praw oraz brak skutecznych mechanizmów odpowiedzialności. W przypadku Komisji Santera mamy do czynienia z błędami, a raczej ich serią; występują tu też komisarze o znaczącej władzy, ale brakuje zarówno autokraty ponad prawem, jak i immunitetu wobec rozliczenia. Zadziałał tu mechanizm będący dokładnym przeciwieństwem logiki opisywanej przez Easterly'ego. To instytucja kontrolna zakwestionowała praktyki „ekspertów", to eksperci stracili stanowiska, a system został skorygowany w stronę większej przejrzystości.

Ten precedens fundamentalnie osłabia narrację, jakoby Bruksela była laboratorium tyranii ekspertów. Pokazuje, że nawet jeśli władza komisarzy ma silnie technokratyczny charakter, jest ona politycznie odwoływalna, a błędy – przynajmniej w skrajnych przypadkach – pociągają za sobą realne konsekwencje. Z punktu widzenia definicji Easterly'ego oznacza to, że w unijnym systemie brakuje kluczowej cechy desygnatu. Nie ma tu bowiem eksperta, który mógłby rządzić ponad prawem i demokratyczną kontrolą w imię jakiegokolwiek, nawet najszczytniejszego, celu rozwojowego.

Komisja Santera: lekcja kontroli nad technokracją

Wszystkie te rozważania można skondensować w jednym, pozornie drobnym, lecz niezwykle wymownym geście. Kiedy Friedrich Hayek odbierał Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii, publicznie oświadczył, że samo jej ustanowienie było fundamentalnym błędem. Dlaczego? Ponieważ obdarza ekonomistów autorytetem, którego – jak twierdził – mieć nie powinni, stawiając ich na równi z fizykami badającymi niezmienne prawa natury. Ten gest, często przytaczany jako historyczna ciekawostka, jest w istocie synekdochą całej debaty o technokratycznej iluzji. W jednej krótkiej wypowiedzi streszcza się cała teza: ekspert, który zbyt łatwo przyzwyczaja się do statusu

nieomylnego doradcy książąt, staje się nieświadomym współtwórcą opresji, nawet jeśli jego intencje są najszlachetniejsze.

Ten drobiazg, niczym fraktal, zawiera w sobie strukturę całości. Pokazuje, że sednem problemu nie jest techniczny błąd w modelu, zbyt niski parametr elastyczności czy niewłaściwie dobrany wskaźnik makroekonomiczny. Istotą jest fundamentalna asymetria władzy między tymi, którzy zza biurka kreślą plany, a tymi, których życie staje się zaledwie materiałem do eksperymentu. W tej perspektywie radykalna, a zarazem jedyna realistyczna teza brzmi: dopóki eksperci i autokraci będą traktowani jako naturalni strażnicy rozwoju, dopóty ubodzy pozostaną przede wszystkim przedmiotem polityki, a nigdy podmiotem prawa.

Skłanianie się ku poglądom skrajnym w tej debacie nie jest przejawem intelektualnej egzaltacji, lecz logiczną konsekwencją potraktowania z całą powagą faktu, że rozwój dotyczy realnych ludzkich istnień. Jeżeli za ekonomistą Williamem Easterlym przyjmiemy, że technokratyczna iluzja polega na zastąpieniu pytania o prawa pytaniem o plany, to spójna odpowiedź musi być bezkompromisowa. Nie istnieje żadne moralne ani ekonomiczne usprawiedliwienie dla wspierania reżimów łamiących prawa jednostki w imię rzekomego przyspieszenia wzrostu. Każdy procent PKB kupiony za cenę milczenia wobec represji jest w istocie formą hazardu, w którym stawką są ludzkie biografie.

Prawdziwe ryzyko, którego potrzeba dziś globalnemu biznesowi i wspólnotom politycznym, nie polega na odważnym wchodzeniu w transakcje z autokratami. Polega ono na odważnym przyjęciu, że trwały rozwój wymaga żmudnego budowania instytucji, które krępują ręce władzy, chronią prawa jednostki i pozwalają rozproszonej wiedzy społecznej samoistnie organizować się w spontaniczne rozwiązania. To jest ryzyko polityczne – ryzyko powierzenia decydującego głosu obywatelom, ryzyko konfliktu i nieprzewidywalności w krótkim okresie. Ale jest to zarazem jedyny racjonalny zakład w długim horyzoncie czasowym.

W tym sensie spór Hayek–Myrdal nie jest zamkniętym rozdziałem historii myśli ekonomicznej. To wciąż otwarte forum, na którym rozstrzygamy fundamentalną kwestię: czy nasz świat gospodarczy będzie światem odgórnie zaprojektowanych planów dla całych narodów, czy też światem, w którym każdy człowiek ma prawo powiedzieć władzy, że jej projekt jest błędny, i prawo do zbudowania własnego rozwiązania w ramach stabilnych reguł gry. Od tego wyboru zależy nie tylko kształt przyszłej ekonomii. Zależy od niego to, czy „rozwój” będzie synonimem wolności, czy tylko kolejnym eufemizmem dla dyscypliny i posłuszeństwa.

Nobel z ekonomii: błąd legitymizacji pseudonauki

Przenieśmy tę abstrakcyjną ramę na grunt europejski, gdzie szczególnie pouczające okazuje się zderzenie skandynawskich modeli kapitalizmu z niemiecką tradycją ordoliberalną. Na pierwszy rzut oka oba kręgi kulturowe wydają się wzorcowymi przykładami wysokiej racjonalizacji instytucji: silne państwo, rozbudowana administracja, wysokie podatki i zaawansowane państwo dobrobytu. Obserwator z zewnątrz, uzbrojony w technokratyczny podręcznik, mógłby zakwalifikować oba modele jako „dobrze funkcjonujące technokracje", faworyzując być może niemiecką dyscyplinę fiskalną lub skandynawską innowacyjność społeczną.

Obraz komplikuje się jednak, gdy przyłożymy do niego miarę hayekowską. W krajach skandynawskich technokratyczne projektowanie polityk publicznych wyrasta z długiej tradycji demokratycznej, kultury wysokiego zaufania i silnego etosu indywidualnej autonomii. Państwo nie jest tam postrzegane jako suweren, który rości sobie prawo do totalnej inżynierii społecznej, lecz jako narzędzie. Narzędzie, które obywatele świadomie wyposażyli w szerokie kompetencje, ponieważ wcześniej zbudowali solidny kapitał zaufania i skuteczne mechanizmy kontroli. Wysokie podatki stają się częścią niepisanego kontraktu: w zamian za nie jednostka otrzymuje wachlarz zabezpieczeń socjalnych, które realnie poszerzają jej pole wolności.

Niemiecki ordoliberalizm, czyli doktryna postulująca silne państwo jako gwaranta wolnej konkurencji, ma zupełnie inną genezę. Zrodził się z traumatycznego doświadczenia hiperinflacji lat 20. i totalitaryzmu III Rzeszy. To z tych katastrof wyrosło przekonanie, że rynek, aby przetrwać, potrzebuje państwa prawa, które będzie stało na straży jego fundamentalnych reguł. Stąd obsesyjny nacisk na niezależność banku centralnego i konstytucyjne hamulce dla długu publicznego. Technokracja przybiera tu formę strażnika zasad, których celem jest zakotwiczenie oczekiwań i poskromienie demokratycznych pokus nadmiernego rozdawnictwa.

Ciekawą synekdochą dla całego problemu jest język niemieckiej debaty o polityce europejskiej. Wyrażenie „Regeln einhalten" – przestrzegać reguł – powraca w niej z siłą mantry. W jej cieniu niemal całkowicie znika pytanie o to, kto te reguły ustanawia, jaka legitymizacja stoi za ich treścią i na ile odzwierciedlają one historyczną przewagę jednych gospodarek nad drugimi. Posłuszeństwo wobec norm staje się cnotą samą w sobie, a ich naruszenie – niemal moralnym występkiem. Niemiecki ordoliberalizm jawi się jako wewnętrznie zdyscyplinowana technokracja praworządności, gdzie ryzyko polega nie tyle na autorytarnej przemocy, ile na sprowadzeniu złożonych relacji ekonomicznych do mechanicznego stosowania prawa, nawet jeśli prowadzi to do społecznej destabilizacji na peryferiach.

W Skandynawii z kolei najbardziej symptomatycznym detalem jest charakter publicznej debaty o polityce społecznej. Dyskutuje się tam nie o tym, jak w imię „konkurencyjności" ograniczyć prawa jednostki, lecz o tym, jak przeprojektować świadczenia, by zachować kruchą równowagę między indywidualną autonomią a solidarnością. Nie jest to bynajmniej raj libertarianizmu, ale środowisko, w którym nawet głęboko kolektywistyczne instytucje są stale legitymizowane przez odwołanie do wolności. Technokraci funkcjonują tu jako wyspecjalizowani wykonawcy, których decyzje podlegają nieustannemu audytowi w ramach dojrzałej kultury deliberacyjnej.

Globalny biznes, patrząc na te dwa modele, dostrzega w nich przede wszystkim przewidywalność. Skandynawia kojarzy się z innowacją społeczną i zieloną transformacją

Wiedza ekspercka kontra podmiotowość obywatelska

Krytyka technokratycznej iluzji wymaga jednak chwili samokrytyki. Jeśli William Easterly ma rację, demaskując technokrację jako niebezpieczne złudzenie, to istnieje ryzyko, że sama demaskacja zamieni się we własną iluzję – w totalny paradygmat, który spycha na margines rozum naukowy. Powstaje bowiem pytanie, czy żarliwa obrona spontanicznego ładu i praw jednostki nie prowadzi nas czasem do lekceważenia realnych problemów koordynacyjnych, z którymi zmagają się współczesne społeczeństwa. To cienka granica między zdrowym sceptycyzmem a ślepym antyintelektualizmem.

W obliczu kryzysu klimatycznego, globalnej pandemii czy niestabilności systemu finansowego naiwnością byłoby sądzić, że spontaniczne interakcje milionów jednostek na wolnym rynku same z siebie wygenerują rozwiązania. A już na pewno nie zrobią tego wystarczająco szybko i spójnie, by zapobiec katastrofie. Tutaj potrzebne są decyzje o skali globalnej, które z natury rzeczy muszą być po części technokratyczne. Muszą opierać się na specjalistycznej wiedzy i złożonych modelach, których nie sposób w pełni zrozumieć w toku zwykłej publicznej debaty.

Prawdziwa aporia, czyli nierozwiązywalna z pozoru trudność, nie polega więc na prostym starciu technokracji z wolnością. Wyzwanie leży w znalezieniu takiej procedury, która wbudowuje wiedzę ekspercką w proces decyzyjny, ale nie odbiera obywatelom prawa do sprzeciwu i korygowania kursu. Chodzi o to, by eksperci byli sługami, a nie panami publicznej debaty; by dostarczali argumentów do procesu, który pozostaje jawny, krytyczny i otwarty na korektę. Oznacza to powrót do idei, że racjonalność polityki potwierdza się nie w autorytecie instytucji, lecz w sile, jaką daje nieprzymuszony przymus lepszego argumentu.

Krytyka technokracji paraliżuje koordynację globalną

Dla globalnego biznesu, patrzącego na Skandynawię i Niemcy, kluczową walutą jest przewidywalność. Pierwszy model kojarzy się z innowacją społeczną, cyfryzacją i zieloną transformacją; drugi z potęgą przemysłu, inżynieryjną solidnością i dominacją w eksporcie. W obu przypadkach wysokie koszty pracy i gęsta siatka regulacji nie odstraszają inwestorów. Rekompensują je bowiem stabilność instytucji, przewidywalność prawa i znikoma korupcja. To jest właśnie twardy, praktyczny dowód na to, że prawa jednostki i demokratyczne państwo prawa nie są luksusem, lecz inwestycją w długofalową redukcję ryzyka.

Współczesna ekonomia w dużej mierze potwierdza te intuicje, porzucając wiarę w „wielkie plany" na rzecz instytucjonalnej pokory. Na jednym biegunie tej debaty stoi tradycja Amartyi Sena, który interpretuje rozwój jako poszerzanie realnych wolności człowieka. W jego ujęciu wskaźniki materialne nie są celem samym w sobie, a jedynie narzędziem pozwalającym realizować własne plany życiowe. Nie chodzi więc o to, by biedni osiągnęli minimum konsumpcyjne, lecz by mogli dokonywać sensownych wyborów, co wymaga zabezpieczenia ich fundamentalnych praw.

Na drugim biegunie nurt badań instytucjonalnych, firmowany nazwiskami Darona Acemoglu i Jamesa Robinsona, dowodzi, że długofalowy sukces gospodarczy zależy od inkluzywnego charakteru instytucji. Chodzi o takie struktury polityczne i ekonomiczne, które otwierają szerokim rzeszom obywateli drogę do udziału w decyzjach i chronią ich przed arbitralną władzą. Instytucje ekstraktywne, skoncentrowane wokół wąskich elit, mogą co prawda wygenerować krótkie zrywy wzrostu, zwłaszcza gdy elity te mają motywację do agresywnej modernizacji. Na dłuższą metę to jednak przepis na stagnację, korupcję i konflikt.

Całość domyka Dani Rodrik, rozwijając tezę, że nie istnieje jeden uniwersalny zestaw polityk rozwojowych, który można by skopiować i wkleić w dowolnym kraju. Ekonomia, jak wskazuje, dostarcza raczej ogólnych pryncypiów niż gotowych recept, a próby mechanicznego przenoszenia „najlepszych praktyk" bez zrozumienia lokalnego kontekstu kończą się porażką. Ta świadomość ograniczeń eksperckiej wiedzy jest niezwykle bliska hayekowskiej krytyce centralnego planowania, choć ubrana w język współczesnej ekonomii politycznej.

Oczywiście istnieje też silna tradycja obrony podejścia technokratycznego, zwłaszcza w takich dziedzinach jak zdrowie publiczne, polityka klimatyczna czy stabilność finansowa. Argumentuje się tu, że pewne zjawiska mają charakter globalnych dóbr publicznych lub ryzyk systemowych, a zatem wymagają skoordynowanej, eksperckiej odpowiedzi. Trudno wszak zaprzeczyć, że opanowanie pandemii czy zapobieganie kryzysom bankowym wymaga specjalistycznej wiedzy i centralnej koordynacji.

Prawdziwe napięcie nie przebiega jednak między „eksperckością” a „niekompetencją”. Przebiega ono między eksperckością zakorzenioną w konstytucyjnych ramach chroniących prawa jednostki a eksperckością podporządkowaną autokratycznej ambicji zawłaszczenia państwa. Nie jest to bowiem proste zastosowanie wiedzy do rozwiązania problemu, lecz użycie jej do legitymizowania władzy, która pozostaje poza skuteczną kontrolą tych, na których życie wpływa.

Globalny biznes, funkcjonujący w świecie rywalizujących jurysdykcji i globalnych łańcuchów dostaw, odczuwa tę ambiwalencję wyjątkowo dotkliwie. Z jednej strony kusi perspektywa inwestowania w reżimach autokratycznych, które obiecują szybkość decyzji,

Stabilność instytucji redukuje koszty kapitału

Współczesna ekonomia dostarcza potężnych argumentów przeciwko technokratycznej iluzji, potwierdzając intuicje jej krytyków. Z jednej strony mamy tradycję Amartyi Sena, dla którego rozwój jest tożsamy z poszerzaniem realnych wolności człowieka. W jego ujęciu wskaźniki materialne nie są celem samym w sobie, a jedynie narzędziem pozwalającym realizować własne plany życiowe. Nie chodzi więc o to, by biedni osiągnęli arbitralnie wyznaczony próg konsumpcji, lecz by mogli dokonywać sensownych wyborów, co wymaga przede wszystkim zabezpieczenia ich fundamentalnych praw.

Równolegle nurt badań instytucjonalnych, reprezentowany przez Darona Acemoglu i Jamesa Robinsona, dowodzi, że długofalowy sukces gospodarczy zależy od inkluzywnego charakteru instytucji. Chodzi o takie ramy polityczne i ekonomiczne, które pozwalają szerokim grupom obywateli uczestniczyć w podejmowaniu decyzji i chronią ich przed arbitralną konfiskatą majątku. Instytucje ekstraktywne, skoncentrowane wokół wąskiej elity, mogą co prawda wygenerować imponujące, lecz krótkotrwałe zrywy modernizacyjne. Na dłuższą metę prowadzą jednak nieuchronnie do stagnacji, korupcji i wewnętrznych konfliktów.

Tę analizę uzupełnia Dani Rodrik, który rozwija tezę o braku uniwersalnej recepty na rozwój. Jego zdaniem ekonomia dostarcza ogólnych pryncypiów, a nie gotowych do wdrożenia polityk, zaś próby mechanicznego kopiowania „najlepszych praktyk” bez głębokiego zrozumienia lokalnego kontekstu są skazane na porażkę. Ta świadomość granic eksperckiej wiedzy jest niezwykle bliska hayekowskiej krytyce centralnego planowania, choć ubrana w język współczesnej ekonomii politycznej.

Oczywiście istnieje też silna tradycja obrony podejścia technokratycznego, zwłaszcza w obszarach takich jak zdrowie publiczne, polityka klimatyczna czy stabilność finansowa. Argumentuje się tu, że

pewne zjawiska mają charakter globalnych dóbr publicznych lub ryzyk systemowych, toteż wymagają skoordynowanej, eksperckiej odpowiedzi. I trudno zaprzeczyć, że skuteczne opanowanie epidemii czy zapobieganie kryzysom bankowym wymaga specjalistycznej wiedzy i centralnej koordynacji.

Prawdziwe napięcie nie przebiega jednak na linii „eksperckość" kontra „niekompetencja". Przebiega ono między eksperckością zakorzenioną w konstytucyjnych ramach chroniących prawa jednostki a eksperckością, która staje się narzędziem autokratycznej ambicji zawłaszczenia państwa. Nie jest to bowiem proste zastosowanie wiedzy do rozwiązania problemu, lecz użycie jej do legitymizacji władzy, która wymyka się skutecznej kontroli tych, na których życie wpływa.

> Czy spór Hayeka z Myrdalem to jedynie relikt przeszłości, czy też wciąż aktualne pytanie o granice planowania i wolności? Być może kluczem jest nieustanne poszukiwanie równowagi między ekspercką wiedzą a demokratyczną kontrolą, aby uniknąć zarówno chaosu, jak i tyranii. W końcu, czy rozwój ma służyć człowiekowi, czy też człowiek ma stać się narzędziem rozwoju?

Inspiracje

[1] **"The tyranny of experts"** William Easterly

2014 | Basic Books

William Easterly to amerykański ekonomista specjalizujący się w rozwoju gospodarczym. Znany jest z krytyki pomocy zagranicznej oraz prac na temat wzrostu gospodarczego, instytucji i redukcji ubóstwa. Jest autorem kilku książek, w tym „The White Man's Burden" (Brzemię białego człowieka). Jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Nowojorskiego.

William Easterly *is an American economist specializing in economic development. He is known for his critiques of foreign aid and his work on economic growth, institutions, and poverty reduction. He is the author of several books, including* ***The White Man's Burden****. He is Professor Emeritus at NYU.*

New York University

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 8fe24b37-3b88-4c56-b788-82936f51aadd